

Poniżej drukujemy ostatni już fragment książki Julii Klusek *Za mało żeby żyć za dużo żeby umrzeć*. Fragment ten pochodzi z części trzeciej pt. „Powrót”

---

*Julia Klusek*

## **ZA MAŁO ŻEBY ŻYĆ, ZA DUŻO ŻEBY UMRZEĆ POWRÓT**

W Teheranie zaczęto spisywać samotne kobiety na wyjazd do Afryki. Bałam się tej Afryki, jak ognia, bo i klimat tam, słyszałam, był straszny i przeprawa przez morze, i taka odległość... Wiedzieliśmy, że wojna niedługo się skończy i jak stamtąd wrócić? Z Persji bliżej, choćby na piechotę. Nie miałam też żadnej gwarancji, że połączę się z Zosią. Raczej przekonanie, że nie, bo transporty szły do nowych osiedli, w coraz to innych krajach.

Opowiadano, że osoby pracujące w szpitalach zostaną. Akurat potrzeba było w szpitalu na nocnej zmianie pielęgniarek. Zdecydowałam się natychmiast. Byłam na męskim oddziale. Leżał tam m.in. mężczyzna z amputowaną nogą. Był zupełnie unieruchomiony. Trzeba było mu basen podstawić, umyć i zrobić wszystko, co wokół ciężko chorego należy. Prosto ze szpitala poszłam do pracy w szwalni, a dopiero od drugiej po południu miałam wolne do wieczora. Następnego dnia przywieźli jakiegoś

sportowca – wojskowego z krwotokiem gardła. Godzina 12 w nocy, a lekarz każe mi iść obudzić Araba – właściciela sklepu i kupić lodu na okłady dla chorego. Nie było to daleko, ale ja od dziecka bałam się wszystkiego. Chyba dlatego, że wiecznie straszono nas diabłami, czarownicami, żebrakami, Cyganami, a przede wszystkim duchami. Przyniosłam tego lodu i zaczęłam siekierą go kruszyć, narobiłam dużego hałasu i lekarz był ze mnie niezadowolony. Po tych dwóch nocach odechciało mi się szpitala i zostałam zapisana na wyjazd do Afryki. Siostra moja cały czas od przyjazdu z Rosji pracowała w szpitalu i tam została.

Szybko otrzymaliśmy wize, i pewnego dnia załadowano cały, długi pociąg i wyjechaliśmy na razie da Ahwazu w pobliżu Zatoki Perskiej. Przejeżdżaliśmy przez 110 tuneli, niekiedy bardzo długich. Przed wjazdem do nich pociąg zatrzymywał się, a konduktorzy biegali i sprawdzali, czy wszystkie okna są pozamykane, Kazali mieć

przygotowane świece, bo światła były wygaszane. Czasami w tunelach świece też gasły. Dookoła ogromne, dzikie, piękne góry.

W Ahwazie ulokowano nas w obozie przejściowym. Potrzeba tam było ludzi do pracy w kuchni oraz do roznoszenia posiłków. Jedne kobiety robiły makaron, obierały ziemniaki i gotowały, drugie zaś tylko donosiły wodę i wlewały do ogromnych, glinianych stągwi. Musiała ona w tych stągwiach postać w cieniu, żeby wystygła, bo kiedy nabierało się ją z rur wodociagowych – dosłownie parzyła. Jeszcze inne roznosiły jedzenie w wielkich wiadrach, a pozostałe myły naczynia. Te dyżury pełniło się przez cały czas, tylko przy coraz to innej pracy. Wszystko było wspólne.

W Ahwazie przeżyłam okropny tropikalny cyklon. Zmiotł on z powierzchni ziemi prawie wszystko, co się na niej znajdowało. Mieszkaliśmy w ogromnej stajni po koniach, zbudowanej jeszcze przez Niemców. Były tam trzy rzędy żłobów, wielkie wrota, a do środka wjeżdżało się wozami i w środku zawracało. Gdy zbliżał się cyklon, najpierw słychać było w powietrzu potężny ryk, a ziemię i piach wiatr unosił tak wysoko, że nie było widać nieba ani nawet słońca. Wszędzie biegali żandarmi, dopilnowując, żeby nikogo nie było na dworze. Wszyscy musieli siedzieć w budynku, a wrota podpierano od

środką wielkimi głazami. Trwało to może ze dwie godziny. Wydawało się, że nastał koniec świata.

Również inne, późniejsze zdarzenie skojarzyło się z końcem świata: eksplozja pociągu z amunicją. Było to pod wieczór. Ludzie powychodzili na dachy, bo tam było trochę chłodniej. Na stację, odległą od nas może z pół kilometra, wjechał długi pociąg. Nagle powietrze aż zadrżało od wybuchu. Detonacje były straszne. Jakiś śmiałek skoczył, odpiął resztę wagonów i pchnął je do tyłu, ratując resztę pociągu, ale sam zginął. Ludzie zaczęli z dachów uciekać, gdzie tylko kto mógł. Siła wybuchu wyrwała w powietrze koło wagonu i trzasnęła nim o nasz budynek. Na szczęście nikogo w tym miejscu nie było, ale w solidnym murze powstała wielka wyrwa. W mieście ostry alarm, samochody wojskowe jeździły aż do rana jak szalone. Zginęła wtedy cała obsługa pociągu, wiele osób z obsługi stacji i dużo miejscowej ludności. Był to pociąg z angielską amunicją dla Rosji, a wybuch podobno spowodowała rzucona butelka z zapaloną benzyną.

Po pewnym czasie do obozu w Ahwazie przyjechała jakaś delegacja armii amerykańskiej, stacjonującej nad Zatoką Perską. Przez morze przychodziły tam nieprzerwanie dostawy sprzętu wojennego i amunicji dla Rosji. Wszystko to było przeladowywane na pociągi

i jechało na północ.

Amerykanie potrzebowali ludzi do pracy w kuchni, w kasynie wojskowym, do prasowania, sprzątanía i innych robót. Zwołali wszystkich i przedstawili warunki. Proponowali wysokie zarobki. Zgłosiłam się do tej pracy i trafiłam do kasyna wojskowego. Jedzenie – czego dusza zapagnie, praca w pomieszczeniach, a nie pod prażącym słońcem i do tego dobre pensje. Major pragnął, żeby kobiety ładnie wyglądały – dlatego kazał nam uszyć w szwalniach dużo pięknych sukienek, bluzeczek, fartuszków i innych fatalasek. Było tam wiele młodych urodziwych panienek. Jak się poubierały, to wyglądały jak laleczki. Kilku oficerów ożeniło się i zwolniło z wojska: służyli oni za pieniądze, więc sami mogli zdecydować o rezygnacji. Zabierali młode żony i jechali do Ameryki. Przysyłali potem kolorowe zdjęcia z całymi rodzinami, szczęśliwi i zamożni. Matki żołnierzy amerykańskich stale prosiły synów o zdjęcia z Polkami. Potem przysyłały nam rózańce, książeczki do nabożeństwa, a na święta to już zasypywały wprost łakociami; przysyłały nawet sztuczne choinki. Wszystkie te słodkości wysyłałam zaraz Zosi do Afryki. Tak samo w każdym miesiącu wysyłałam jej dwa funty angielskie, żeby miała na owoce czy cukierki.

W tym obozie był ksiądz amerykański i co niedzielę odprawiał

Mszę Świętą. Odległość od kaplicy wynosiła może z pół kilometra, ale zawsze jechałyśmy autem. Traktowano nas z wielkim szacunkiem, pierwsze ławy nam przeznaczając. Do Mszy Świętej służyli oficerowie. Ksiądz poprosił, żebyśmy zaśpiewali coś po polsku. Jak gruchnęliśmy *Boże coś Polskę*, to aż o mało mury nie popękały. Wojsko stało na baczność, a ksiądz nie odchodził od ołtarza. Tak bardzo spodobała mu się ta pieśń, że sam się jej nauczył i zawsze po Mszy świętej intonował: *Boże ciesz Polskę*.

W armii amerykańskiej służyli też Polacy. Moja siostra w Chicago mieszkała w jednym domu z ludźmi, którzy mieli tutaj w wojsku syna. Wysłał on zdjęcie kilku osób, na którym byłam i ja. Jego matka poszła pokazać zdjęcie mojej siostrze, a ta mnie rozpoznała. Cóż to była za radość, i tam, i tu.

Z moimi dziećmi prowadziłam stałą korespondencję, wymieniając różne wiadomości. Pisywałam teraz troszkę rzadziej niż na początku, bo jak Czesio był na urlopie, to sobie wiele poopowiadaliśmy. Teraz syn pisał mi, że będą wyruszać na front. Nie wiedziałam dokąd, ponieważ cenzura wycinała wszystko, co mogło zdradzać miejsce ich pobytu. Na kopertach były tylko pieczątki poczty polowej. Od czasu do czasu mogłam się domyślać miejsca jego postoju po drobiazgach, jakie przysyłał. Na przykład dostałam w ka-

setce pamiątki z Jerozolimy i Betlejem oraz z góry, na której ukrzyżowano Chrystusa z dopiskiem, że jedzie bliżej Polski. Po jakimś czasie napisał, że są pod pięknym włoskim niebem.

Amerykanie mieli ogromne mapy i oczywiście wiadomości ze wszystkich frontów. Na tych mapach oznaczali szpileczkami i nitką na bieżąco każdy ruch wszystkich armii. Ale nie wiedziało się nic bliższego, bo gazet nie było, komunikatów radiowych w języku polskim też nie, tyle tylko, co z korespondencji. Zosia przysłała mi list Czesia z 21 maja 1944 roku, w którym pisał m.in.:

*...Zosiu, módl się za zdrowie wszystkich, którzy walczą w obronie Ojczyzny i tych, którzy cierpią pod obcym jarzmem, w tym tatusia i braciszków. Ja muszę dziękować Bogu za ocalenie własnego życia, bo na pewno wiesz, a jak nie, to kiedyś się dowiesz, co było. Wiesz przecież, że jest wojna...*

Donosiłam mu w jakimś liście, że u nas w Wielki Piątek było trzęsienie ziemi. On odpisał, że u nich też – tak wielkie, że aż skały pękały. Poprosił, bym co dzień pisała, nie czekając na wiadomości od niego. W jednym z listów napisał:

*...musi się Mamusia na jakiś czas stać mężczyzną i nie drgać kobiecym sercem, tylko patrzeć twardo, a końca na pewno się doczekamy, i to niedługo.*

Czasem przysyłał wiersze przez siebie ułożone. Oto początek jednego z nich:

*Kiedyż nareszcie strudzeni oracze  
lemiesz wykujem z pałaszy skrwa-  
wionych,  
kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze  
prócz pól i łąk deszczem zroszo-  
nych.*

Teraz dostawałam od mego syna listy rzadziej. Ciągłe w nich upominał, że gdyby wiadomości od niego przestały przychodzić całkowicie, to mam nie płakać i nie rozpaczać, tylko być spokojną, tak jak teraz, gdy listy przychodzą. Gdyby korespondencja ustała, mam pisać często do Zosi, a o nim myśleć, że nigdy nie istniał. W liście z 13 lipca opisywał, jak koledzy wyprawili mu urodziny – okrągłe – dwudzieste. Że nie zapomniał wypić kieliszka za moje zdrowie i całej rodziny. Cieszył się zawsze. Do Zosi pisał: „cóż to będzie za radość, gdy się po wojnie wszyscy spotkamy”. Gdy czytałam te jego listy, wydawało mi się, że oto stoi przede mną i do mnie mówi.

Później pisywał już rzadziej, ponieważ walki były coraz bardziej zacięte, a żołnierze coraz bardziej odczuwali ten krwawy trud. Listy docierały raz na tydzień, później raz na 10 dni, wreszcie przestały przychodzić.

Początkowo niepokój zamieniał



*Od lewej: Katarzyna Fiołek – siostra Julii, Czesio i Julia Klusek. Teheran, 1943 r.*

się w rozpacz, to znów przychodziła nadzieja, że to chwilowo, z powodu zakłóceń na pocztę. Ludzie mnie pocieszali, że może jest ranny, może w szpitalu, że wszystko będzie

dobrze, żeby się nie martwić. Nie było listu dłużej, jak miesiąc. Wreszcie przyszedł, ale nie od syna. Oto jego treść w pełnym brzmieniu:

M.p. 26 IX 1944 rok

Por. Jaźwiński Józef  
Polish Forces  
C.M.F. 310

Wielce Szanowna Pani.

Ogromnie rad byłem, kiedy w roku ubiegłym mogłem ułatwić Czesiowi wyjazd na tak dobrze przez Niego zasłużony urlop. Przy okazji napisałem wtedy do Pani słów parę o wartościach żołnierskich Czesia. Naprawdę, bardzo byłem wtedy szczęśliwy, że mogę komuś sprawić radość. Dziś, tylko w dużo wyższym stopniu jestem nieszczęśliwy, że słabej kobiecie i matce, swoim listem sprawić muszę wielki ból... Niech mi Bóg to wybaczy, lecz jestem zdania, że lepsza jest prawdziwa, choćby zła rzeczywistość, od niepewności. Na mnie, jako na dowódcę spada ten przykry obowiązek.

Czesio, jeszcze w zeszłym roku, za swoje uwojskowanie został wyróżniony tym, że otrzymał awans na starszego strzelca. Za bitwę o Monte Casino otrzymał Krzyż Walecznych, a za walki o Anconę i linię Gota był po-

dany do orderu Virtuti Militari, tylko niestety otrzyma go pośmiertnie...

Tak, Czesio nie żyje!

Dnia 26 VIII 44 r. niedaleko portu Pesaro jadąc w czasie akcji bojowej wozem pancernym w pościgu za nieprzyjacielem najechał na minę ukrytą na tej drodze przez nieprzyjaciela. Było to dnia 26 sierpnia o godz. 10 rano. Gdy się tylko dowiedziałem, zaraz wysłałem samochód sanitarny, który go przywiózł do lekarza. Sam pomagałem opatrywać rany, byle prędzej, bo żył jeszcze, choć nieprzytomny. Ksiądz kapelan dał Olejem Św. Ostatnie Namaszczenie (u spowiedzi był Czesio 13 lipca) i odesłaliśmy Jego do bliskiego szpitala dla dalszego ratunku. Niestety, nie wytrzymał i zmarł tegoż dnia o godz. 24.00. Pochowaliśmy Go w miejscowości Castelvecchio na cmentarzu cywilnym, Działka Wojskowa A – grób Nr 7. Postawiliśmy Mu piękny mosiężny krzyż, największy i najładniejszy z całego cmentarza, bośmy Go bardzo lubili, a na krzyżu tablica z wyjątkiem Jego wiersza:

*„Trzeba być falochronem, co osłania słaby brzeg,  
albo jasnym słoneczkiem, co roztopia wiosną śnieg.”*

W życiu był On zawsze falochronem dla słabszych i wspierał ich swym silnym ramieniem i czystą duszą, a smutnych rozweselał i tym czynił ich życie lepszym. Cmentarzyk jest suchy i pięknie położony.

Czesio kochał swoją Matkę i rodzeństwo, a najbardziej siostrę Zosię. Był przy tym staranny i oszczędny. Jego oszczędności, które miał w gotówce, zadysponowałem następująco: 4,5 funta posyłam Zosi, a 8 funtów dla Mamy, które to czeki (na 8 funtów) posyłam w tymże liście do Pani, a dla Zosi w innym liście do niej bezpośrednio. Nie wiem, czy to dobrze, ale niech będzie tak. Inne oszczędności, które miał złożone na książeccze oszczędnościowej w kwocie 27 funtów, będzie Pani mogła otrzymać po wojnie. Książeczka ta wraz z Krzyżami oraz niektórymi drobiazgami jest złożona w depozyt w naszym wojskowym K.U. Kończę ten ciężki list, a tak mi jest przykro, jakbym coś złego zrobił. Jeśli Pani chce wiedzieć jakieś szczegóły, czy też będzie Pani miała w życiu jakieś wątpliwości, bardzo proszę zawsze do mnie pisać, chętnie wesprę radą czy pomocą. Byłem Czesia bezpośrednim dowódcą i obowiązkiem moim jest opiekować się Jego bliskimi, tym bardziej w takiej zawierusze, a zresztą Czesio zasłużył sobie na to. Proszę raz jeszcze pisać do mnie oraz proszę mężnie znieść to nieszczęście, lecz na wojnie nie rzucają różami, a wygranie naszej sprawy jest tylko przez krew Synów i łzy Matek. Ty, Matko, musisz wrócić do Kraju, bo syn tak chciał i gorąco chciał... Cześć Ci, Matko!

Z szacunkiem Jaźwiński

Jakby ziemia usunęła się spod nóg. Trzy razy zapadałam w ciemność i za każdym razem pierwsza myśl – mój syn nie żyje! Wszystko to było straszne, niesprawiedliwe, niezrozumiałe. Nie da się opisać, co przeżyłam. Niech więc reszta będzie milczeniem.

...

tam 1080 żołnierzy polskich, którzy oddali swe życie w czasie wojny na linii frontu od Pescary aż do tzw. Linii Gotów. Oprócz wymienionych w liście porucznika Jaźwińskiego odznaczeń Czesio otrzymał Krzyż za udział w bitwie o Monte Cassino, odznakę 5 Dywizji i przepiękny medal – „Polska swemu obrońcy”.



*Groby żołnierzy, wśród których spoczywa Czesio na Polskim Cmentarzu Wojennym w Loreto. Zdjęcie wykonano latem 2001 r.*

*Fot. Janusz Szuba*

Po wojnie zwłoki Czesia przeniesione zostały na polski cmentarz wojenny w Loreto, gdzie spoczywa pod opieką Matki Boskiej Loretańskiej (zginął w dniu częstochowskiej Pani). Wraz z nim pochowano

Pamiętki te odesłano mi wraz z garścią ziemi z jego grobu. Otrzymałam również różne zdjęcia z poświęcenia cmentarza.

...